

„Atak” na franka

Autor: **Murray N. Rothbard**

Tłumaczenie: **Marcin Zieliński**

Media na całym świecie kazały nam znowu oglądać znany melodramat — tę samą nieprawdziwą historię z tymi samymi bohaterami i złoczyńcami.

Frank francuski, rzekomo szlachetna waluta, został „zaatakowany”. Przedtem, we wrześniu, celem ataków był funt brytyjski, a jeszcze wcześniej korona szwedzka. „Atak” jest zawsze gwałtowny i niespodziewany niczym atak rekina w wodach przybrzeżnych. Bohaterem jest premier lub minister finansów, który rozpaczliwie próbuje „bronić wartości” waluty.

Premier Francji Édouard Balladur przyrzekł obronić „silnego franka” (*franc fort*) lub upaść (czyli zrezygnować), próbując to uczynić. „Obrona” miała zostać przeprowadzona nie z pomocą karabinów i samolotów, ale rezerw twardych walut wydawanych przez Bank Francji oraz miliardów dolarów przeznaczonych w tym samym celu przez Bundesbank — niemiecki bank centralny. W wielu wypadkach instytucje międzynarodowe i Rezerwa Federalna pomagają w próbach utrzymania wartości „zagrożonej” waluty.

Skoro instytucje krajowe i międzynarodowe są bohaterami, to złoczyńcami są spekulanci, których „ataki” polegają na wymianie danej waluty — franka albo funta — na waluty uważane przez nich za „twardsze” lub solidniejsze, a więc w tym przypadku na markę niemiecką, a kiedy indziej na dolara amerykańskiego.

Rezultat jest zawsze taki sam. Po wielu tygodniach hysterii i potępiania ataków spekulanci w końcu wygrywają, nawet jeśli premier lub minister finansów wielokrotnie obiecują, że do dewaluacji nigdy nie dojdzie. Korona, funt i frank w ten czy inny sposób na wartości straciły. Ich stara oficjalna wartość już nie obowiązuje. Rządy tracą mnóstwo pieniędzy, ale nikt — mimo przyrzeczeń — ze swojego stanowiska nie rezygnuje. Premier Balladur zachował urząd i twarz, poszerzając „dozwolone wahania” kursu franka.

I jak zwykle, gdy histeria już przeminie, a wartość franka, funta lub korony zostanie w końcu obniżona, każdy zaczyna sobie zdawać sprawę, doznając cudu

świeżego spojrzenia, że gospodarka jest w lepszym, a przynajmniej w bardziej obiecującym stanie niż przed udanym przeprowadzeniem nikczemnego „ataku”.

Skąd ta ciągła podatność walut na ataki? Dlaczego to złoczyńcy zawsze wygrywają? I dlaczego sprawy zdają się mieć *lepiej* po „porażce” niż przed nią?

Odpowiedzi na te pytanie są w rzeczywistości dość proste. Wartość waluty jest określana tak samo jak wartość innych towarów: im większa podaż, tym mniejsza wartość, im większy popyt, tym większa wartość. Przed XX wiekiem waluty krajowe nie były niezależnymi towarami — definiowano je w odniesieniu do określonych wagowo ilości złota lub srebra (a czasami, niestety, również w odniesieniu do obu tych kruszców). W XX wieku, a szczególnie po tym, jak w 1971 roku zniesiono ostatnie szczątki standardu złota, każda waluta stała się niezależnym towarem. Podaż franków czy dolarów składa się ze wszystkich istniejących franków lub dolarów. Popyt na salda w tych walutach zależy w dużej mierze od oczekiwań względem tego, co stanie się z ich ceną czy też wartością.

A zatem im większą inflację wywołuje rząd, tym niższa będzie wartość jego waluty, przy czym ten spadek wartości będzie się odbywał na dwa sposoby: zmniejszy się jej siła nabywcza względem dóbr i usług oraz jej wartość wyrażona w pozostałych walutach. W związku z tym walut inflacyjnych dotyczyć będzie wzrost cen krajowych oraz spadek kursów wymiany wyrażonych w innych, mniej nadmuchanych walutach. Kiedy zaś waluta jest mocno nadmuchana, to następuje od niej „ucieczka” do twardszych walut, gdyż ludzie oczekują wzrostu inflacji.

Najlepszą i najmniej inflacyjną formą pieniądza jest światowa waluta złota. Ale w przypadku istniejących krajowych walut dekretowych, niewymienialnych na złoto, z pewnością najlepszym rozwiązaniem jest pozwolenie, by kursy wymiany na rynkach walutowych swobodnie się zmieniały, dzięki czemu rynki przynajmniej mogą się oczyszczać, zapewniając tym samym, że nie pojawi się niedobór lub nadmiar jakiejś waluty. Przynajmniej wartość walut odzwierciedla podaż i popyt.

Rządy chętnie stwarzają pozory, że wartość ich waluty jest większa niż w rzeczywistości. Jeśli Francja naprawdę chce *franc fort*, to tamtejszy bank centralny powinien zaprzestać zwiększania podaży franków na rynku. Tymczasem rządy zwykle chcą się cieszyć zaletami inflacji (wzrostem cen, wysokimi wydatkami rządowymi, dotacjami oraz tanimi kredytami dla swoich przyjaciół i sojuszników), a jednocześnie nie cierpieć z powodu utraty prestiżu.

W konsekwencji rządy zwykle ustanawiają wartość swojej waluty na poziomie wyższym od kursu wolnorynkowego.

Ustanawianie przez rządy kursów wymiany sprowadza się do sztucznego zawyżania wartości ich waluty (wprowadzenia ceny minimalnej) i sztucznego zaniżania wartości twardszych walut (wprowadzenia ceny maksymalnej), jak dolar lub marka. Skutkiem tego jest nadwyżka franków lub koron i niedobór twardszych walut.

Aby utrzymać sztucznie zawyżony kurs wymiany, rząd i jego sojusznicy muszą wydawać (marnować) miliardy dolarów na działania w istocie równoważne podtrzymywaniu cen — a wreszcie, gdy rządowi skończą się pieniądze i cierpliwość, skończą się również możliwości kontynuowania tychże działań. A ponieważ waluta o zawyżonej wartości, gdy znajdzie się pod atakiem, może pójść tylko w jednym kierunku — w dół — to spekulanci mają sposobność osiągnięcia pokaźnych i pewnych zysków.

Obarczanie spekulantów winą za tego rodzaju kryzysy jest tak samo absurdalne jak obarczanie winą handlujących na czarnym rynku za wyższe ceny w przypadku wprowadzenia kontroli cen. Prawdziwymi złoczyńcami są domniemani bohaterowie, ci urzędnicy rządowi, którzy próbują niczym Kanut Wielki rozkazywać falom oraz utrzymywać sztuczne i fałszywe kursy wymiany.

Domniemani bohaterowie są dzisiaj jeszcze bardziej nikczemni niż zazwyczaj. Od 1979 roku europejskie rządy próbują utrzymać system stałych kursów wymiany pomiędzy swoimi walutami, ograniczając dozwolone wahania do 2,25 procent powyżej lub poniżej oficjalnego kursu, a od niedawna przygotowują się na wprowadzenie wspólnej europejskiej jednostki walutowej (ECU), emitowanej przez pojedynczy europejski bank centralny od 1999 roku.

Spółeczności światowej przedstawiono wspólną europejską walutę i wspólny bank centralny jako gigantyczną „jednostkę wolnego handlu”, jednak w rzeczywistości był to wielki krok w kierunku scentralizowanego rządu w Brukseli. Był to krok w kierunku starego keynesistowskiego marzenia o światowej jednostce papierowej emitowanej przez Bank Rezerwy Światowej, zarządzany przez rząd światowy.

Na szczęście za sprawą oporów wobec traktatu z Maastricht, a następnie wycofania się Wielkiej Brytanii z Europejskiego Systemu Walutowego i wprowadzenia pozwalającego zachować twarz nowego systemu dopuszczającego bardzo szerokie wahania kursów wymiany ECU i keynesistowskie marzenie są właściwie martwe. Światowy rynek znowu wygrał

z keynesistowskim etatyzmem, choć wydawało się, że przewaga jest po stronie establishmentu.

W przypadku Francji był jeszcze jeden złoczyńca potępiany przez wszystkich. Niemiecki Bundesbank, obawiając się inflacji w kraju w wyniku ogromnych dotacji dla Niemiec wschodnich, nie podejmował tak inflacyjnych działań, jak chciałaby tego Francja. Jednym z rozwiązań, dzięki którym Francja lub Wielka Brytania mogłyby się cieszyć zaletami inflacji i uniknąć kłopotów wynikających ze spadku wartości waluty, jest *wywieranie nacisku* na kraje mające twardsze waluty, by dokonywały u siebie inflacji, co ściągnęłoby te waluty do poziomu tych słabszych.

Na szczęście Niemcy, choć dokonały niewielkiej inflacji i zmarnowały miliardy na wsparcie dla franka, nie wywoływały inflacji nawet bliskiej temu, czego chcieliby Francuzi czy Brytyjczycy. Jednak z powodu prowadzenia dosyć rozsądnej polityki monetarnej Niemców potępia się za „samolubstwo”, gdyż nie poświęcili się w pełni „Europie” — czyli keynesistowskim inflacjonistom i dążącym do centralizacji władzy kolektywistom.

Gdy rozejrzemy się wokół i zobaczymy, że rządy i organizacje opiniotwórcze na całym świecie są opanowane przez żądnych władzy kolektywistów, możemy łatwo stracić nadzieję. Jednak na naszą korzyść działa pewna potężna siła. Wolne rynki nie tylko w długim okresie, ale często również w krótkim wygrywają z władzą rządową. Rynek okazał się potężniejszy od komunizmu i Gułagu. Choć podejrzanyimi spekulantami mocno się pogardza, to dzięki nim rynek znów zatriumfował nad niewykonalnymi i niegodziwymi planami mężów stanu i międzynarodowymi keynesistami.